



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Gizela Śliwka

## Pamięć lat dziecięcych

Urodziłam się 1 listopada 1936 roku we wsi Chomęciska Małe w województwie zamojskim, 11 kilometrów na północ od Zamościa. Tereny te włączone zostały przez Hitlera do Generalnej Guberni, a sam Zamość Niemcy obrali za ośrodek kolonizacyjny, ponieważ spodobała im się „Padwa Północy”, która miała się odtąd nazywać „Himmelerstadt” – od nazwiska szefa policji SS Heinricha Himmlera, komisarza III Rzeszy na Wschodzie.

Po napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę 1 września 1939 roku ojciec poszedł na wojnę, a mama suszyła chleb na suchary i drżała o nasz los. Suchary na nic się potem nie zdały, bo pewnego dnia nasusiałam do koszyka, w którym się znajdowały. Ja miałam wtedy trzy lata, a moja siostra pół roku. Rozpoczęły się naloty niemieckich samolotów. Przelatywały bardzo nisko, strzelając i zrzucając bomby, a my uciekaliśmy do piwnicy. Kiedyś nadleciały w momencie, gdy byłam z mamą przypięć krowy na pastwisku. Posypał się grad kul i padały bomby. Mama pociągnęła mnie i upadła pod stóg siana mocno przyciskając mnie do siebie. Gdy ucichła strzelanina mama nie mogła złapać oddechu, miała sine usta i paznokcie. We wsi zastałyśmy tylko dym i ogień. Na podwórku w czerwonej koldrze siedziała moja siostra z patyczkiem w ręce i machała sobie na kury. Od sąsiadów wyszła babcia. Mama się pyta jak jej dziecko na podwórku, czy nic się nie stało, a babka słowa nie mówi tylko klepie „zdrowaśki”. Ominęły nas kule, ale odłamek bomby trafił krowę, leżała rycząc jeszcze, oczy jej płakały, a wnętrzości miała na wierzchu. Druga krowa ranna wyrwała się i uciekła. Długo ją mama szukała, aż znalazła na końcu wsi w czyjejsz oborze.

Ojciec nie wojował długo, gdyż jego oddział szybko został rozbity. Po upływie około pół roku wrócił pieszo skądś z daleka, w długim szynelu. Daje mi jabłko, ja płaczę i uciekam – nie poznałam go.

Naszą wioskę przecinała szosa Zamość – Lublin, którą Niemcy pędzili jeńców i Żydów. Mama powiedziała mi, abym w podolek sukienki wzięła jabłek i rzuciła jeńcom. Gdy to robiłam mama krzyknęła „uciekaj Giziu”, gdyż zauważyła jak Niemiec mierzył z pistoletu w moją stronę. Szybko uciekałam w zboże. To samo chcieli zrobić jeńcy, ale padali od kul. Opowiadali ludzie, że dwóm udało się zbiec, ale jeden zmarł zaraz w stodole. Drugi najadł się białego sera, który gdzieś znalazł i też po paru godzinach umarł.

Wszędzie były posterunki SS – węszyli, grabili i mordowali. Trafił się raz dobry Niemiec. Jakoś z moją mamą się dogadał, bo pytał o moje imię. Mama powiedziała, że Gizela. On posmutniał i powiedział, że ma córeczkę o takim imieniu i nie wie nic co z rodziną. Wyjął czekoladę i dał mi.

Często uciekaliśmy z domu i nocowaliśmy w lesie, pod mostami i w zbożu. Razem z innymi ludźmi żywiliśmy się smalcem z chlebem przez kilka dni. Wiedzieliśmy, że Niemcy palą wsie, a mieszkańców spędzają w jedno miejsce i rozstrzelują. Odbierają rodzicom dzieci i pociągami wywożą. Dużo ludzi

ginęło w Rotundzie Zamojskiej. Wioski były wysiedlane, więc ojciec zakopał w ziemi naftę i nie czekając jesienią 1942 roku zabrał nas na furę. Udaliśmy się na dwuletnią tułaczkę od wsi do wsi. Mama wydoiła ostatni raz krowę, by mieć na drogę mleko. Wlała je do czajnika, a ja przechodząc niechcący kopnęłam i się wylało. Dostałam za to klapsa. Uciekając spaliśmy na wozie i pod wozem, w szczerym polu. Pamiętam gwiazdy na niebie. Tyle się wtedy napatrzyłam! Wreszcie daleko od swoich stron dotarliśmy do dobrych ludzi, którzy przez jakiś czas przenocowali nas i innych wysiedlonych. Spaliśmy na ziemi razem z innymi. Dorośli siedzieli jak zajęce pod miedzą, byli w ciągłym strachu o nasz los. Ja i siostra zachorowałyśmy na odrę. Mama chodziła żebrać, aby mieć co dać dzieciom do jedzenia. Jak wyzdrowiałyśmy, to chodziłyśmy razem z nią na żebry. Ja mając już sześć lat wstydziałam się, ale chodziłam i przynosiłyśmy to kawałek chleba, to buraczki, to kartofle, cebulę, albo mleko.

Byliśmy w okolicy Kitowa, gdzie rozegrała się tragedia. Potem we wsiach Bzowiec i Chłaniów. Po drodze były inne wioski, z których co jakiś czas trzeba było uciekać przed Niemcami. Hitlerowcy spustoszyli nasze strony, spalili wioski, wywieźli ludzi do obozów. Rosjanie zaczęli atakować. Ojciec z nami zaczął zbliżać się do rodzinnych stron. Zatrzymaliśmy się w sąsiedniej wiosce Chomęciska Duże, ponieważ tam, gdzie mieszkaliśmy byli jeszcze Niemcy i naloty trwały nadal. Chowaliśmy się w grządki kartofli, a z przejeżdżających samochodów wojskowych świstały koło nas kule. Pewnego razu stałam przed domem, gdy nadjechało odkryte auto niemieckie i tuż koło głowy usłyszałam gwizd. Upadłam i długo się nie podnosiłam. Modliłam się i nadśluchiwałam jak daleko auto już odjechało. Tu, w tym domu, mama ciężko zachorowała i długo nie mogła chodzić. W tym czasie oblaży nas wszy, załęgając się we włosach i w ubraniu. Na głowie pojawiły się strupy i kołtuny. Kiedy mama wyzdrowiała obciąła nam włosy do samej skóry.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Mama wycięła z gazety lalki i zawiesiła na gałązce, którą wetknęła w butelkę. Bardzo cieszyłyśmy się tą choinką. Tato przyniósł króliki i w kuchni się rozmnożyły. Mieliśmy już co jeść. Dzięki mamie poznawałyśmy z gazet litery i cyfry, a w końcu już umiałyśmy czytać, a później pisać (ja mając 7 lat, a siostra 4 latka). Ojciec zaczął znikać na kilka dni i nocy. Nie mówił, gdzie chodzi – prawdopodobnie do partyzantki. Już wcześniej działały w okolicy oddziały AK, GL, BCh organizując wypadki dywersyjne, atakując wsie skolonizowane przez „czarnych”, podkładając ładunki wybuchowe pod szyny kolejowe i mosty. Raz ojciec przyniósł nam paczkę, w której była konserwa, czekolada, jakaś odzież.

Wróciliśmy do swojej wioski, gdzie stacjonowali Rosjanie z radiostacją. Do nas przychodził niejaki Bobrow i rozmawiał z mamą. Moja mama знаła rosyjski, gdyż przed rewolucją 1917 roku ze swoją matką przebywała przez jakiś czas daleko w Rosji. Nas też nauczyła paru słów w tym języku i kilku piosenek.

Przed wojną ojciec gromadził materiał na dom, gdyż mieszkaliśmy kątem u mamy szwagra. Po naszym powrocie nic z tego nie zostało, a mieszkanie też zastaliśmy puste. Ludzie ściągali skądś różne meble i sołtys czy komitet, który się zawiązał, przydzielali coś z wyposażenia dla każdego domu. My dostaliśmy sofę, komodę i taboret. Było już na czym spać, jeść i siedzieć. Sofa się rozsuwała, więc mogliśmy we czworo spać razem (dzieci w nogach). Mama poszła jeszcze na spęd bydła i z daleka przyprowadziła krowę.

Miasteczko żydowskie Izbica było opustoszałe, a okoliczni ludzie jeździli tam na szaber. Mama też chciała wybrać się tam, by zdobyć choć jedną poduszkę, ale ojciec zdjął pas i zbił ją, wobec czego nigdzie nie poszła.

W pobliskim lesie sześciu chłopców z naszej wioski rozbrajało bombę i wybuchła. Wszyscy zginęli. Strzępki ich ciał wisiały daleko na drzewach. Ja dostałam lanie od ojca, bo znosiłam z pól różne wiatraczki, a kiedyś przyniosłam cały pas amunicji, a potem przy oczyszczaniu studni wyciągnęli kupę nabożów.

W 1945 roku w wieku dziewięciu lat rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej w Wierzbie. Ponieważ umiałam czytać, pisać i liczyć przyjęto mnie od razu do II klasy. Do tej samej klasy uczęszczali ze mną uczniowie, którzy mieli po 12, 13, a nawet więcej lat, a którym naukę przerwała wojna. W szkole pisaliśmy listy do „Cioci UNRRY”, co chcemy dostać w prezencie. Ja chciałam rower, ale nigdy nie doszedł...